

Fragментy wywiadu z s.Małgorzatą Chmielewską

Kim jesteśmy

Wspólnota "Chleb Życia" ("Pain de Vie") powstała we Francji, a założona została przez dwa małżeństwa konwertytów. Wokół tych małżeństw, które od chwili nawrócenia chciały dosłownie żyć tak jak pierwsi apostołowie, zaczęli się gromadzić ludzie z marginesu społecznego. Jeden z założycieli to był narkoman, malarz, który dzięki swojemu nawróceniu ocalał życie. W założeniu wspólnota jest Ludem Bożym adorującym Chrystusa w Najświętszym Sakramencie i usiłującym żyć Ewangelią. Jest wśród nas miejsce dla wszystkich członków Ludu Bożego: dla rodzin, ludzi wybierających celibat, kapłanów, ubogich, dzieci, a także dla tych, którzy nie są powołani do ścisłego życia wspólnotowego, ale jako osoby stowarzyszone ze wspólnotą żyją w świecie jej ideami. Takie osoby nie składają ślubów, tylko przyrzeczenia, część z nich mieszka również ze wspólnotą. Jest to jakby powołanie wewnątrz powołania. We wspólnocie są również pustelnicy, ludzie, którzy bardziej poświęcają się modlitwie.

Charyzmatem wspólnoty jest życie z ubogimi i torowanie im drogi do Jezusa, do bezpośredniego spotkania z Jezusem. Tak jak Jan Chrzyciel, który jest patronem wspólnoty, chcemy wskazywać na Chrystusa. Ludzie, którzy do nas przychodzą, to alkoholicy, prostytutki, narkomani, bezdomni, dzieci z ulicy, ludzie chorzy, nosiciele wirusa HIV. W zależności od kraju wspólnota poświęca się najbiedniejszym z biednych. Mogą to być - jak na przykład w Kanadzie - ludzie z gett kolorowych czy mieszkańcy slumsów, w Peru są to skazani na wymarcie Indianie, w Kamerunie są to więźniowie albo kalekie dzieci porzucane na ulicy, trędowaci w Nigerii. W jednym z krajów afrykańskich pracuje brat, który sam będąc kaleką na wózku, poświęca się kalekim dzieciom z ulicy, próbuje zbierać je, najpierw leczyć, a później, jeśli to możliwe - uczyć zawodu, zapewnić jakąś możliwość egzystencji.

Sama nazwa "Chleb Życia" wskazuje na szczególny kult Eucharystii. Adoracja Najświętszego Sakramentu zajmuje ważne miejsce w naszej duchowości. Całe nasze życie duchowe - jak również pośrednio życie materialne, ponieważ większość naszych domów siłą rzeczy musi utrzymywać się z Opatrzności, nasza praca nie wystarcza - jest skoncentrowane na Eucharystii. Wierzymy, że poprzez adorację Najświętszego Sakramentu, bezpośrednio spotkanie twarzą w twarz z Panem Jezusem potrafimy jakby żyć Jego życiem i patrzeć na ludzi tak jak On patrzy. Szczególnie na ludzi cierpiących, najpierw oczywiście wzajemnie na samych siebie. To jest cały sens naszego życia.

Z chwilą, gdy założyciele wspólnoty postanowili żyć Ewangelią, biorąc ją dosłownie i bardzo na serio, zaczęli się wspólnie modlić. Już wtedy zaczęli do nich przychodzić ludzie, którzy szukali spotkania z Chrystusem i pragnęli modlitwy - szukali prawdy, której nie mogli znaleźć w oficjalnych strukturach. Wtedy także zaczęły się nawrócenia wśród ludzi z marginesu: alkoholiców, narkomanów, prostytutek. Ponieważ założyciele początkowo nawrócili się na chrześcijaństwo, nie należąc do żadnego istniejącego wyznania, zaczęli szukać Kościoła, do którego mogliby się przyłączyć. Jeden z nich, Pascal Pingault, wybrał się w podróż i spotkał Małych Braci Karola de Foucault. Wtedy to, nie mając jeszcze pojęcia o adoracji Najświętszego Sakramentu, przeżył wizję wspólnoty na spotkaniu z Jezusem w Eucharystii. Zrozumiał, czego Pan Bóg oczekuje od wspólnoty, a znakiem potwierdzającym było to, że kiedy wybrał się do miejscowego biskupa, ten wysłuchał go, a następnie przyjął wspólnotę do Kościoła katolickiego i udzielił jej zezwolenia na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w domu.

Pascal i jego żona byli już wcześniej ochrzczeni, ale drugie małżeństwo założycieli, nie mając pojęcia o sakramentach, a chcąc okazać posłuszeństwo słowom Ewangeli, ochrzciło się... w wannie. To ślepe posłuszeństwo Duchowi Świętemu w ich życiu, absolutna prostota i zaufanie Bogu, wiara w to, że Pan Bóg prowadzi ich krok po kroku, zaowocowało tym, że przyszli do Kościoła katolickiego, że zostali przyjęci, że wspólnota mimo swoich rozmaitych wad i słabości trwa i rozwija się. To jest po prostu znak Opatrzności i wielkiej łaski.

W Polsce

W 1989 r. założyliśmy z Tamarą i Maćkiem Rayzacherem dom dla bezdomnych kobiet w B. Już wtedy miałyśmy kontakt ze wspólnotą "Pain de Vie", bo szukałyśmy na Zachodzie jakiegoś modelu. Adres

dostałam w Polsce i razem z Tamarą pojechaliśmy do Belgii, aby zobaczyć, jak funkcjonują takie domy dla bezdomnych kobiet. Tam spotkałyśmy żonę Pascala Pingault i pojechaliśmy do nich, do Francji. Stopniowo kontakty zaczęły być coraz bliższe. Pascal przyjechał do Polski, w Krakowie u dominikanów miał konferencję, to było w listopadzie 1989 roku. Na pewno dostałyśmy ten adres opatrnościowo.

Dlaczego tak

Dla mnie życie z Panem Jezusem to troska, aby inni też mogli Go spotkać, i aby innym było co najmniej tak samo dobrze jak mnie. Można to realizować na różne sposoby, ja wybrałam tę metodę, która wydawała mi się słuszna, to znaczy trzeba najpierw z ludźmi żyć tak jak oni, przyjść do nich i zejść do nich, być razem z nimi. Dopiero później przez to, kim się jest, przez mój osobisty związek z Bogiem można im pokazać drogę do Niego i jednocześnie bardzo konkretnie pomóc.

Chrystus mówił wyraźnie, że droga do Niego wiedzie poprzez ubogich. Po prostu ubogi to Chrystus. Dla mnie nie ma innej drogi do Boga, jak dostrzeżenie Chrystusa w człowieku ubogim. Być może inni widzą to odmiennie. Dla mnie osobiście wszystko inne jest nieprawdą. To znaczy, jeśli ja chcę rzeczywiście naśladować Chrystusa, jeśli Ewangelia jest dla mnie prawdą, to jest to jedyna droga, żeby tę prawdę wcielić w życie. Szukałam prawdy, a jeśli znalazłam ją w Ewangelii, to dalej musiałam już być konsekwentna.

Próbowałam wstępować do różnych zgromadzeń zakonnych i zawsze na mojej drodze stawał człowiek potrzebujący i z tym człowiekiem absolutnie nie mieściłam się w ramach danego zgromadzenia. Tak było na przykład z próbą wstąpienia do benedyktynek, kiedy to spotkałam ogromnie zaniedbane dziecko, które - jak okazało się po latach - bez mojej pomocy byłoby skazane na margines. Tak było również z Małymi Siostrami Karola de Foucault, kiedy okazało się, że moja wizja służenia drugiemu człowiekowi wykraczała poza regułę zakonu. To nie jest ich wina, to jest zgromadzenie kontemplacyjne, które nie jest nastawione na bezpośrednią pomoc. Ich wyjście do innych, bliskość z nimi, nie przekracza pewnych granic. Kiedy przebywałam w Ostrowcu Świętokrzyskim, poznałam umierającą przez dziewięć miesięcy samotną staruszkę, której nikt nie chciał, nawet własna rodzina. Nocowałam u niej prawie przez cały tydzień. Fakt, że nie wracałam na noc, chociaż wiadomo było, gdzie jestem, był dla sióstr bulwersujący. Podobnie fakt, że utrzymywałam kontakty, wręcz przyjaźniłam się głęboko i próbowałam pomagać osobom, które w tamtejszej opinii uchodziły za osoby zaplątane w różne kłopoty, szokował siostry. Odeszłam ze zgromadzenia Małych Sióstr, zresztą dopiero po ukończeniu moich ślubów czasowych, a więc absolutnie zgodnie z prawem i tłumacząc jasno, że nie neguję samej idei zgromadzenia, tylko to nie jest moja droga. Wydaje mi się, że było to uczciwe postawienie sprawy. Nie można było wymagać od tamtych sióstr takiego spojrzenia, jakie ja miałam, bo było ono po prostu inne. Nie lepsze i nie gorsze, ale inne.

Dla mnie wszelkiego typu formalistyczne spojrzenie na drugiego człowieka - my jesteśmy pobożni i lepsi, a oni to jest ten motłoch - było zawsze odrażające. Po prostu w pewnym momencie wybrałam bycie motłochem i jestem nim do tej pory.

Nasi Bracia

Ludzie, z którymi mieszkamy często w potocznym rozumieniu źle się prowadzą. Ale trzeba także zapytać, jak się prowadzą ludzie Kościoła. Pewna część tak zwanych dobrych katolików prowadzi się równie niemoralnie, tylko albo mieli szczęście i byli na tyle sprytni, że tego nie widać na zewnątrz, albo są na tyle zakłamanii, że nie potrafią się do tego przyznać. Rzeczą wspaniałą u większości ludzi, których spotykamy, jest to, że oni nie udają. Żyją w prawdzie, dobrze wiedzą, jacy są: że są grzeszni, że są alkoholikami, prostytutkami, że są bezdomni, że często bezdomność jest przez nich zawiniona.

Przyznają się do tego, że im się życie nie udało. Bardzo boli mnie fakt, że oni nie potrafią zobaczyć w Kościele miłosierdzia Chrystusa, gdyż jest ono za mało pokazywane.

Opatrzność i pieniądze

Nie dostajemy od Kościoła, jako instytucji, nic. Natomiast uważam, że wiele dostajemy od Kościoła jako wspólnoty, bo przecież ci, którzy z nami się dzielą, to ludzie ochrzczeni. Nawet jeśli dają urągając "tym wszystkim próżniakom i babom, co to się puściły i mają teraz pięcioro dzieci, a oni ich muszą utrzymywać". Bywa że ładując nam, na przykład, pojemniki z mięsem - zdarzyło się to jednemu ze współbraci - wyrzekają na swój ciężki los i na to, że "muszą utrzymywać tych nierobów". Oczywiście, nie muszą, tylko koniec końców chcą! Robią to, bo nie mogą odmówić drugiemu, potrzebującemu człowiekowi, nie mogą się nie podzielić! I oni są również Kościołem, uważam więc, że my od Kościoła dostajemy. To dzięki solidarności setek ludzi nie tylko utrzymujemy 7 domów, lecz także możemy rozwijać fundusz stypendialny, tworzyć miejsca pracy dla ludzi bezdomnych i bezrobotnych. Sami nie mamy nic. Tam, gdzie możemy, staramy się, wraz z naszymi mieszkańcami zarobić na swoje utrzymanie. Proporcja jest jednak zbyt mała: większość osób do nas przybywających nie może lub na początku nie umie pracować zarobkowo. Zaczynamy zatem od prostych czynności: sprzątanie, gotowanie, proste prace. Ci, którzy mają dochody muszą ich część wpłacać do wspólnej kasy. Wielu nie ma ich przez wiele miesięcy. Staramy się, aby młodzi kończyli szkoły, uczyli się zawodu. Często doświadczamy Bożej Opatrzności, wzruszających gestów solidarności ze strony ludzi. Wierzymy, że Bóg nie opuści swoich ubogich, chociaż czasem trudno o tę wiarę, kiedy kasa pusta.

Społeczna nauka Kościoła mówi wyraźnie o obowiązkach pracodawcy w stosunku do pracowników. Na co dzień mamy do czynienia z wieloma nadużyciami w tej dziedzinie. Zatrudnianie bez ubezpieczenia ludzi znajdujących się w potrzebie i biorących jakąkolwiek pracę, byleby tylko zarobić pieniądze, podawanie fałszywych danych dotyczących ich zarobków po to, aby obniżyć koszty ubezpieczenia, niesprawiedliwe wynagradzanie za bardzo ciężką pracę, zwalnianie bez odprawy... W tej chwili są to rzeczy nagminne i one wychodzą od członków Kościoła - katolików, którzy w niedzielę przychodzą na Mszę z poczuciem całkowitej niewinności. My natomiast mamy do czynienia z ludźmi, którzy są wykorzystywani i nie można na to zamykać oczu.

Z drugiej strony, zdarza się niekiedy, że nasi mieszkańcy są na bardzo dobrych warunkach zatrudniani przez właścicieli sklepów, przedsiębiorstw, z pełną świadomością, kogo się zatrudnia; są opłacani sprawiedliwie, z ubezpieczeniem itd. Jednak ogromna większość to przypadki negatywne. Uważam, że wypowiedzi Kościoła przypominające o etyce pracy powinny być bardzo mocne.

Życie z ludźmi we wspólnocie

Nie można być przyjacielem stu osób w sensie bliskich relacji. Niemniej, we wszystkich naszych domach bywają również bardzo bliskie więzy. Jesteśmy zaprzyjaźnieni z większością ludzi, którzy są u nas dłużej. Po prostu ja ich naprawdę lubię i myślę, że jest to dwustronne. Relacje na co dzień muszą być normalnymi relacjami ludzi żyjących pod jednym dachem i są często bardzo głębokie. Inaczej nie dałoby się żyć. Chodzi przede wszystkim o wybaczenie własnych słabości. Ja także je mam i wiem, że jeśli narozrabiam, to będzie mi to wybaczone - tę świadomość mają tutaj wszyscy. Do wielu z tych ludzi jestem przywiązana i ich kocham. Z pozostałymi łączy mnie wspólny los, wszyscy jesteśmy biedni i musimy walczyć o życie, walczyć przede wszystkim o siebie.

Apostolstwo

Naszym mieszkańcom początkowo chodzi z pewnością o przetrwanie. Ci, którzy do nas przychodzą, nie robią tego dlatego, że jesteśmy wspólnotą katolicką, tylko dlatego, że nie mają gdzie mieszkać i nie mają co jeść. Dlatego nasze nastawienie jest różne w zależności od domu. Na przykład w noclegowni nie dajemy mieszkańcom żadnych zobowiązań natury religijnej. Oprócz Mszy świętej,

która pełni bardzo ważną funkcję, ale jest absolutnie nieobowiązkowa, nie ma tam wspólnej modlitwy. Nie ma żadnych zewnętrznych oznak życia religijnego, co jednak nie oznacza, że takiego życia nie ma. Zdarza się, że szereg osób po jakimś czasie, poprzez przyjaźń z nami, to, kim jesteśmy i co robimy, zaczyna się zastanawiać nad własnym życiem, porzuca alkohol, przyjeżdża tutaj na adoracje Najświętszego Sakramentu. Nie możemy tam wymagać jakichkolwiek oznak religijności, ponieważ wówczas stworzyłaby się sytuacja fałszywa. Ludzie czuliby się zmuszeni do uczestnictwa w modlitwie, mimo iż nie doznają takiej potrzeby. Traktowałoby to jako opłatę za nocleg, co natychmiast zaciemniłoby obraz.

Podobnie jest w domu dla matek z dziećmi. Staramy się przede wszystkim wpływać na wzajemne stosunki tam panujące. Rozmawiamy z tamtejszymi mieszkankami i poprzez refleksję nad własnym życiem, nad życiem całego domu staramy się wprowadzić pewne wartości, uczymy dzielenia się, wybaczenia sobie wzajemnie, służenia sobie. Rozwiązując codzienne problemy w duchu wartości chrześcijańskich, naprowadzamy na pewien tor myślenia o drugim człowieku i jest to skuteczne. Może nie od razu i nie ze wszystkimi, ale generalnie jest to skuteczne. Świadczy o tym chociażby historia starszej, poważnie chorej na nogi pani, która przyszła do nas bardzo zbuntowana i była bardzo trudna. W tej chwili regularnie odwiedza w szpitalu chore mieszkanki, pociesza je, troszczy się o ich potrzeby. Zupełnie bezinteresownie i z dobrej woli opiekuje się dziećmi w noclegowni. Robi to z ogromnym wysiłkiem, bo jest jej ciężko chodzić, niekiedy prawie płacze z bólu. Ona jest na pewno bliższa Panu Jezusowi i Kościołowi niż niejeden z nas, mimo że przyszła z daleka w sensie moralnym.

Ludzie, którzy mieszkają w tym domu, przychodzą już ze świadomością, że będą proszeni o próbę pewnej postawy, to znaczy przynajmniej o obecność raz dziennie w kaplicy. Nie modlitwę - ta nigdy nie może być wymuszana - ale o obecność. O uczestniczenie w tworzeniu domowej atmosfery, a jest to bardzo duże wymaganie.

Zasady

Mamy trzy podstawowe zasady. Nieużywanie przemocy słownej i czynnej, to znaczy wulgarności i przemocy fizycznej, jak również przemocy psychicznej. W środowisku ludzi bezdomnych łatwo tworzą się stosunki więzienne, gdzie silniejsi wykorzystują słabszych. Na to szczególnie zwracamy uwagę. Nie alkohol, nie kradzieże, nawet nie przemoc fizyczna, ale znęcanie się psychiczne jest tym, czego nie tolerujemy w żadnym z naszych domów. Jeżeli zostanie to wykryte i udowodnione, osoba winna opuszcza dom na zawsze, bez prawa powrotu.

Trzeba żyć w prawdzie, to znaczy - trzeba ludzi traktować poważnie. Trzeba ich brać takimi, jakimi są, nie robić sobie złudzeń, że oni są inni, lepsi czy święci. Oni są często zdemoralizowani, uzależnieni, niekiedy po prostu niedobrzy. Tak jak my wszyscy. Wyrzucenie nigdy nie jest natychmiastowe, nikt nigdy nie został wyrzucony na bruk bez próby przywołania go do porządku. Tak było tylko raz i wtedy chodziło po prostu o sutenerstwo. Jeżeli Pan Bóg ma cierpliwość do nas, to i my, zaczepiwszy się o Niego, musimy mieć cierpliwość do tych ludzi. Nie tak łatwo wraca się z bardzo daleka... Nawet jeśli dokonano się jednorazowe, gwałtowne nawrócenie, to jeszcze pozostają wieloletnie przyzwyczajenia. Łaska bazuje na naturze, trzeba łąć, żeby zmienić nawyki, których się nabierało od dzieciństwa. Jeśli ktoś był wychowywany w domu dziecka, w zakładzie poprawczym czy w więzieniu, to on nie może nie przeklinać co dwie minuty, bo on nigdy w życiu inaczej nie mówił! Po prostu nie jest w stanie - i z kolei, jeżeli ja zacznę czułe przemówienia w stylu: "Syneczku kochany, może byłbyś uprzejmy pozamiatać" - oczywiście próbuję na początku - to do niego nie dociera, a jeśli powiem: "Do jasnej cholery, albo pozamiatasz, albo cię wypierdolę!" - to na ogół bywa to skuteczne, bo on rozumie wtedy, co do niego mówię. Ale trzeba pamiętać, że ci ludzie mają swoją godność i nie wolno ich znieważać.

Inną bardzo ważną zasadą jest to, że kiedy do nas przychodzi człowiek, mówimy mu, iż jego przeszłość się dla nas nie liczy, i nie pozwalamy mu o niej zbyt długo opowiadać. Są tacy, którzy się delectują tym, że są niedobrzy. Jeśli mają na to ochotę i opowiedzą raz - my nigdy o to nie pytamy -

na tym jest koniec. Nie wolno mówić na temat tego, co się działo w więzieniu, jak to było dobrze, gdy się piło, jak to było dobrze, gdy się puszczało. Mówimy im - i chcemy, żeby to była prawda - że mają tu szansę zacząć życie od nowa i że to nie jest melina, tylko normalny dom. W domu nie ma alkoholików, prostytutek i złodziei - są normalni ludzie. Na ogół to jest skuteczne, nasi mieszkańcy bardzo dbają o wizerunek domu na zewnątrz. Gdy ktoś narozrabia poza domem, to nie my, tylko cała reszta mieszkańców jest na to oburzona i sami się rozprawiają z winnym. Oni nie chcą mieszkać w burdelu, oni chcą mieszkać w domu i to jest niesamowite.

Trzeba jednak postawić bariery i bez owijania w bawełnę powiedzieć ludziom, w którym miejscu są: "Ty jesteś alkoholikiem", albo: "Przepraszam cię bardzo, moja panienko, jak to? - mówisz, że nie jesteś prostytutką, no przecież się puszczałaś. Bądźmy prawdziwi. To nie oznacza, że ktoś musi pozostać taki do końca życia, ale niech nie rżnie damy i nie udaje świętej. Proszę, do czego to prowadzi. Na przykład tu, na tym łóżku, umarła zapita na śmierć kobieta, inna wróciła po raz kolejny na dworzec, a była jedną z najbogatszych kobiet w Warszawie, ma chorobę weneryczną trzeciego stopnia, zaburzenia psychiczne i mimo to pije nadal - mimo naszych wysiłków - aż się zapije na śmierć! Komuś innemu urżnięto głowę w kanałach itd. Proszę, masz wybór! Tu jest szansa, ale jako człowiek wolny możesz wybierać. My ci możemy pomóc, ale wybrać musisz ty."

Rocznie przez nasze domy przewija się ponad tysiąc osób.. Część wraca na dworzec, a potem co jakiś czas przychodzi do nas. To są osoby, które mają niewielkie szanse - po ludzku rzecz biorąc, oprócz cudu - na wyrwanie się z różnego rodzaju uzależnień, i noclegownia służy do tego, żeby mogły podleczyć się, przespać w normalnych warunkach, w łóżku, żeby mogły się wymyć i zjeść. A czasem chodzi tylko o to, żeby godnie umrzeć - niedawno, dosłownie parę godzin przed śmiercią przyszła pewna osoba, dzięki nam umarła nie na dworcu, tylko w łóżku, jak człowiek. Udało nam się uratować życie wielu osobom, choć były w stanie przedagonalnym, dzięki temu, że zgłosiły się do nas i uzyskały szybką pomoc lekarską.

Trudno jest określić liczbę bezdomnych. Do Warszawy ściągają bezdomni z całej Polski; atrakcyjne są wielkie dworce, a ponadto istnieje tu większa możliwość przeżycia, istnieją różne ośrodki, kuchnie darmowe itd. Wielu ludzi zrozpaczonych przyjeżdża do Warszawy, poszukując mieszkania i pracy.

Nadzieja

Wierzę w światło w człowieku. Wierzę, że w każdym człowieku jest światło zmartwychwstania i że przez naszą ciemność Chrystus próbuje się uporczywie przebić. Bardzo ważna jest dla mnie scena Sądu Ostatecznego, gdy Pan Jezus mówi: "Byłem głodny, a daliście Mi jeść" - i nie pyta tych ludzi, czy są wierzący czy nie, nie pyta o dogmaty, nie pyta o przynależność religijną. Nie pyta również: "czy byłaś prostytutką, czy byłeś narkomanem, czy byłeś biskupem?" - przepraszam, że zestawiam w takiej kolejności. Żyję z pełną świadomością, że tylko przez przypadek to nie ja znalazłam się na dworcu, i wcale nie jest powiedziane, że któregoś dnia się na tym dworcu nie znajdę. Właśnie światło zmartwychwstania Chrystusa i Jego słowa ze sceny Sądu pozwalają mi kochać moich współbraci, którzy tak jak ja nie są święci - i ja, i oni robimy czasem głupstwa. Gdy jednak widzę, jak niezwykle rzeczy potrafią robić, dawać z siebie wszystko i wcale przy tym nie uważać się za świętych, jak niekiedy w środku nocy jadą do noclegowni i tam zajmują się brudnymi, zawszonymi i chorymi... Myślę, że to jest to światło - bardzo konkretne światło. Wspólnocie "Chleb Życia" przyświeca wiara w to, że nie ma ludzi straconych. Dla nas nawet jeśli człowiek umiera w upojeniu alkoholowym, ale ściska krzyż, to nie oznacza, że on nie pójdzie do nieba. Być może pójdzie najprędzej, bo jego walka była trudniejsza niż tego, kto nie miał tego uzależnienia.